Dnia 13 marca. № 20 roku 1838

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEWOLNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUZKIEGO.

I.

Niedaleko Saint Pierre, u podnóżka uśpionych wulkanów, stał kiedyś dom, największy i najpiękniejszy w całej osadzie Martinique. Dochód z tej znacznej posiadłości przewyższał zbiory niejednego zamku z wałami i zwodzonym mostem, a jednakże widziano tylko bardzo skromną kamienicę, której ceglasty dach wznosił się nad zielonemi drzewami daktylowemi; kilka wielkich palm kokosowych bujało nad zgrabnemi jego szczytami i liczne do tego domu należące zabudowania wydawały się jak wieś, która wzdłuż przeciętą była prostym szeregiem chat niewolników bez okień, więcej do ulów, aniżeli ludzkich mieszkań podobnych.

Lasy i gaje otaczały te obszerne i kwitnące osady, naprzeciw których ziemia jaśniała w dzikim stroju odwiecznej wegetacyi. Z północno-zachodniej strony, pomiędzy głębokiemi otchłaniami, gdzie Karbet ma swoje źródła, w oddaleniu mili angielskiej od osady *Rebelière*, leżała druga, prawie równie obszerna posiadłość *les Mornes* zwana; obszerne pola trzciny cukrowej rozciągały się aż do szarych grzbietów gór Karbetskich.

Około Bożego Narodzenia roku 1720 siedziały trzy osoby wieczorem na galeryi domu Rebelière. Wysokie kandelabry oświecały pokój, w którym spostrzegano szczególną mięszaninę zbytku i prostoty. Niebyło tam firanek; zastawki tylko z robót na kanwie wstrzymywały komarów, których niezliczone chmary brzęczały za oknem. Niewolnicy sprzątali srebrne półmiski i talerze i postawili kawę na stoliku, który był arcy-dziełem stolarskiej sztuki i raczej w pokojach królowej, niż w tej bielonej sali powinien się był znajdować. Rysy trzech osób, przy stoliku siedzących, tak się różniły od siebie, iż na pierwszy rzut oka poznać można było, że one nienależały do *jednej* rodziny i niepochodziły z *jednego* kraju. Pani de La Rebelière była wzorem charakteru kreolskiego w swojej dumnej, ale powabnej ociężałości. Jej kształty znikały niepoznane w szerokiej, białej odzieży, której fałdy obejmował wąski pasek, ale pomimo tych obłok muślinu, każdy wnosił o wysmukłej i zgrabnej kibici. Rysy jej twarzy były czarujące, włosy czarne, płeć delikatna i biała, na twarzy przebijała się świeża, kreolom właściwa białość, a duże oczy, jaśniały rzadką pięknością. Jej małżonek, pan de la Rebelière, był młodym jeszcze człowiekiem, ale się zestarzał wcześnie w skwarze klimatu Antillów. Pochodził on z Belgii i nieuszedł wpływowi tej strefy, w której niebył zrodzonym; rysy jego twarzy były pospolite, ale wyraz dumy objawiał w nich człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania. Ztemwszystkiem można się było domyślić, że gwałtowne w nim wrzały namiętności, które mocna i surowa żywiła wola.

Młoda panienka jaśniała pierwszą świeżością kwiatów i owoców; byłato jedna z tych łagodnych i wesołych twarzy, które wlewają słodkie uczucie swobody w otaczające ją osoby. Omdlewające skwary niezbieliły jeszcze rumianych jej policzków; włosy były brunatne, a oczy niebieskie. Panienka ta nosiła na sobie skromny ubiór podług francuzkiej mody. Pracowała pilnie nad haftem, przedstawiającym kwiaty, którego wzór leżał na wzmiankowanym już stoliku.

»Jeszcze raz muszę uwagę twoją na to zwrócić, jak niesłusznie czynisz, że mnie do *Fort Royal* z sobą niechcesz zabrać,« rzekła poziewając pani de la Rebelière, kołysząc się na lekkiem bambusowem krzesle.

Jej mąż ściągnął ramionami grzecznie, ale stanowczo i odpowiedział łagodnie: »Mogę cię zapewnić, kochana żono, iżbyto dla ciebie żadną niebyło przyjemnością; gdybym niemiał obowiązku przepędzenia świąt Bożego Narodzenia u pana *Feuquières*, oszczędziłbym sobie sam tę podróż i odłożyłbym ją na czas późniejszy, ale mam o ważnych rzeczach do pomówienia z moim szwagrem, a przytem wiesz, jak niechętnie cię opuszczam.«

»Mógłbyś mnie więc przynajmniej w St. Pierre pozostawić,« przerwała mu znowu młoda małżonka z niecierpliwością.

»Zdaje mi się, że ci tu w mojej nieobecności najlepiej będzie.«

»I cóżby ci to szkodziło, gdybym na twój powrot w St. Pierre oczekiwała. Nieprzyjmowałabym tam, jak tutaj, żadnych gości, niewidziałabym ludzkiej duszy, jak tylko z okna. Przyznasz, że to jest przynajmniej więcej zajmującem, jak widok przez zastawki na niewolników, ich chaty i młyn cukrowy.«

»Moja Eleonoro, ty jesteś dzieckiem,« odpowiedział spokojnie Rebelière; »musisz się przyzwyczaić do tego życia, bo je tu spędzisz... Powietrze lepiej mi tu służy, aniżeli w Saint Pierre...«

»Zapewne, od trzydziestu lat twojego pobytu w Martinique pierwszy raz czynisz podobną uwagę. Przed mojem zamęzciem niemyślałeś porzucać miasta.«

»Ponieważ się tu nudziłem, dopóki byłem samotnym; ale z tobą, kochana Eleonoro, mile czas mi schodzi. Ty sama upodobasz sobie ten pobyt.

»Ja o to wcale niestoję. Jutro wyjadę do wód, i jeżeli mi się tam spodoba, pozostanę ośm, dziesięć, dwadzieścia dni, aż do twego powrotu.«

»Do wód? o kilka mil, najgorszą drogą, pustemi miejscami, gdzie się zbiegli niewolnicy tułają? U wód niemasz nawet innego pomieszkania, jak pustą chałupę, która już przed dwoma laty groziła zawaleniem. Gotów jestem ofiarować pierwszemu lepszemu ten kawał gruntu, który jest nadto oddalony, iżbym z niego mógł jakieś ciągnąć korzyści.«

»Poczekaj przynajmniej mój mężu z tym podarunkiem aż do mego powrotu.«

»Ale twoja podróż, kochana Eleonoro, groziłaby największem niebespieczeństwem.«

»Ty mnie tylko chcesz zastraszyć; czegóżbym się lękać miała? Ja niepojadę sama, Cecylia będzie przy mnie; mam nadzieję, że jej nieodmówisz twego zezwolenia.«

»Na co pozwalam mojej żonie, nieodmówię mojej siostrzenicy.«

»A zatem jutro rano wyjedziemy razem z tobą. Nie prawdaż Cecylio, że chętnie pojedziesz ze mną, bo się tu okropnie nudzisz?«

Młoda panienka odpowiedziała na to podwójne zapytanie potakującym uśmiechem i przeczącem poruszeniem głowy. Potém położyła na stronę hafty i rzekła z własnem upodobaniem: »Patrz pani, jakieto świeże i żywe kolory! Czym nie wiernie naśladowała tę lilię? Moje przyjaciołki, w St. Cyr bardzo się zadziwią, widząc te piękne kwiaty.«

»Ale, mój Boże,« odpowiedziała pani la Rebelière, »ten dar będzie cię wiele pracy kosztował. Od dwóch miesięcy pracujesz już nad nim. Niewiem, dlaczegoś niekazała tych kwiatów zrobić naszej Femi, która jest tak zgrabna, jak bogini.«

»A czembym ja się zatrudniła?«

»Niczem, jak ja!«

»Wówczas i mnie schodziłby czas tak nudnie, jak pani.«

»Być może!« odpowiedziała Pani Rebelière z westchnieniem i lekkiem poziewaniem. Potém podniosła się nagle i rzekła: »Trzeba myśleć o podróży. Muszę wydać roskazy. Pojedziemy w wiszących matach i weźmiemy z sobą dziesięciu niewolników i dziesięciu mułów z żywnością.«

»Radzę ci to, jeżeli niechcesz znosić głodu,« dodał la Rebelière. »Ale, bez żartu, ta podróż jest niedorzecznością. A jeżeli spotkacie zbiegłych niewolników?«

»Wówczas się oni ukryją, aby nas przepuścić.«

»To jest lekkomyślność Kreolów. Mimo najokropniejszych przypadków nie strzegą się oni niewolników, idą i idą, jak gdyby ich ciało było kamienne.«

Pani Rebelière ściągnęła ramionami, a Cecylia słuchała z przestrachem. Nieraz już pytała się siebie samej od swego pobytu w Martinique, zastanawiając się nad losem okrutnie katowanych niewolników, dopóki oni dobrowolnie takie męki znosić będą. Pan Rebelière obejrzał się i mówił dalej: »Od dnia ucieczki Palema, mocno jestem niespokojny.«

»Jestto wielka strata dla nas; ten człowiek kosztował zapewne z 1200 liwrów.«

»Kto? Ten biały niewolnik?« zapytała się Cecylia.

»Białych niewolników nie mamy,« odpowiedział p. de la Rebelière. »Parlem jest mulatem, zrodzonym przez indyankę, niewiem którą. W tych rasach panuje taka mięszanina, iżby i djabeł swoich dzieci pomiędzy niemi nierospoznał.«

»Ale ciało jego jest tak białe jak nasze.«

»Być może, jednakże on jest mulatem i złodziejem, z którym się nadto łagodnie obchodziłem.«

»Leżał on często pomiędzy czterema palami,« odezwała się pani Rebelière. »Sam sobie przypisz to zmartwienie; ja ci często odradzałam, abyś nigdy niekupował ludzi na wolnej nodze zostających.«

»Słusznie mówiłaś.«

»Ale mój mężu, dlaczego się ty ustawicznie dręczysz? Tyle czasu upłynęło, a jeszcze ci włos z głowy niespadł. Ty trzymasz murzynow tak surowo, oni tak drżą przed tobą, iż nikt się nieośmieli ciebie dotknąć. Ale gdyby się domyślili, jak się ich obawiasz.....«

»Ja nie żyję w obawie,« rzekł pan Rebelière, »wiem, iż nikt by się nieodważył, zbliżyć się do mnie. Nie, ja się niczego nielękam!«

Nastąpiła pauza. Rebelière przechodził się po pokoju z rękoma na krzyż założonemi; jego żona siedziała znowu na krześle bambusowem i bawiła się bukietem, który przed Cecylią leżał, a młoda panienka rozbierała w myśli przedmiot, o którym dopiero co mówić przestano. Jej dusza wzdrygała się na widok tylu okrutnych kar, jakie nieszczęśliwi murzyni znosić musieli, a jednakże i ona miała w swojej posiadłości, którą po krewnym odziedziczyła, trzystu niewolników.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

LIST MUSTAFY PASZY

DO

XIĘCIA ORLEANU.

Ibrahim, syn Mustafy, lepiej znany w Algierze, pod nazwiskiem Mustafy paszy, jest pomiędzy Muzułmanami najznaczniejszą osobą w mieście. Pobożność, dobroczynność jego, jako i pamięć na jego ojca, zjednały mu miłość i szacunek wszystkich godnych ludzi. Ojciec jego, Mustafa, był paszą czyli dejem algierskim, przed tym, którego Francuzi wygnali. Zamordowali go Turcy w rozruchu, co się na Wschodzie często wydarza. Po zdobyciu i zajęciu Algieru przez francuzkie wojska, Brahim, syn Mustafy, należał do niewielkiej liczby tych, którzy miasta opuścić niechcieli. — Oddał się pod opiekę rządu francuzkiego, służył mu wiernie, jako adjunkt prezydenta Algieru, a wszyscy gubernatorowie (wyjąwszy marszałka Clauzel) oddawali sprawiedliwość uczciwości i nieskazitelności jego charakteru. — Gdy królewicz następca tronu z wyprawy pod Maskara do Algieru się udał, stanął na mieszkanie w pałacu Mustafy paszy, który za zaszczyt, jaki mu królewicz wyświadczył, okazywał najżywszą i najszczerszą radość. Xiąże umiał o-

cenić charakter swego gospodarza i powróciwszy do Francyi przesłał mu bogaty podarunek na znak poważania i zadowolenia.

Zeszłego miesiąca maja zebrało się czterdziestu pięciu wyższej szlachty, mających przyczynę uskarżania się na uciemiężenia, jakich doznawali ze strony rządu, i podali prośbę do marszałka Maison, nowoczesnego ministra wojny, przekładając mu swoje krzywdy. Marszałek Maison, przesłał zakomunikowanie tego pisma swemu wiernemu towarzyszowi, marszałkowi Clauzel, właśnie natenczas do Paryża przybyłemu, i odtąd prawie o tej sprawie niemyślał. — Nie tak sobie postąpił Clauzel. Przesłał natychmiast jenerałowi Rapatel roskaz, aby najznaczniejszych ze szlachty przytrzymać, do Bony odesłać, i tam w więzieniu Casabach osadzić. W tenczas publicznie ogłoszono ich za zdrajców, mających tajemne porozumienie z Emirem Abdel-Kaderem. Mustafa pasza znajdował się w liczbie uwięzionych, i znalazł sposobność, przed przybyciem swojem do Bony, przesłać do xięcia Orleanu następujący list:

(*Dokończenie nastąpi*).

W Stutgardzie jest teraz kobieta, która czyni wielkie wrażenie: Mieni się ona jasno-widzącą, i ma przy sobie jakiegoś pisarza, który, nad podziwienie, wielkie foliały zapisuje o dziwach, jakie ona we śnie widzi. Posiada ona dar patrzenia ciągle wprost na słońce, xiężyc i wszystkie gwiazdy. Powiada, że mieszkańcy słońca mają o 4 tygodnie wprzód wszystkie mody, niż mieszkańcy ziemi. Koleje żelazne na słońcu miano już przed 50 laty; na xiężycu zaś jeszcze łat 20 na nie poczekają. Wie ona również, gdzie się podzieli uczeni i wielcy ludzie, którzy poumierali od lat 20, 30, a nawet i więcej: *Göthego* na Saturnie znalazła. *Schiller*, jako mydlarz, mieszka na Uranie. *Klopstock* jest na Marsie aptekarzem, i ma wiele odbytu; o Napoleonie utrzymuje, że na słońcu pełni obowiązki cyrulika. Tamże na słońcu jest instytut dzieci pod kierunkiem pani *Recamier*. Dalej mowi: Sokrates jest nauczycielem na Wenusie, a Herder profesorem filozofii na Merkurym. Przesadzanie tej kobiety bardzo jest zabawne, zwłaszcza, gdy wyraża, jak Iffland i Kotzebue z nią rozmawiali, i gniewali się, że mieszkańcy xiężyca tak są na ich dzieła dramatyczne obojętni. »Na słońcu, mówi, dwa razy dziennie grają włoską operę, pod przewodnictwem Belliniego; a kiedy operę *Norma* dają, nie można dostać miejca. Ta jasno-widząca *Grossglatthach* mówi szwabskim dyalektem, i twierdzi, że w niebie także mówią tylko po szwabsku. Nie wartoż się śmiać z tego do rospuku?

— Donoszą z Petersburga, że dla pocieszenia mieszkańców tej stolicy, po wyjeździe p. *Taglioni*, która obecnie znajduje się już w Warszawie, z liczby znakomitych artystów przybyli tam, i dają teraz koncerta: skrzypek *Ole-Bull* i fortepianistka dworu hanowerskiego, *Robbena Laidlaw*; prócz tego codziennie są tam spodziewani, sławny *Beriot* i *Wieuxtemps*. Niektóre dzienniki zawcześnie doniosły nawet o przybyciu do stolicy *Lipińskiego*.— Pana Taglioni (według ostatnich wiadomości) spodziewaną była d. 17 marca w Londynie, jako w dzień otwarcia tameczněj opery włoskiej.

— 22 księgarzy sztutgardzkich umieściło w *Merkurym Szwabskim* prośbę do wszystkich redakcyj krajowych pism peryodycznych, ażeby, przyczyniając się do zapobieżenia przedrukom i przedruków, nie umieszczały w swych pismach żadnych doniesień dotyczących przedruków. 13 Redakcyj już prośbie tej uczyniło zadosyć. W przypisku do owej prośby czytamy co następuj: »Księgarnia J. G. Cotta zapłaciła *honorarium* za prawo nakładu dzieł Szyllera około 300,000 fl., z tych 125,000 fl. złożyła jeszcze w roku 1828. Jednakże, pomimo tej ofiary, pomimo, że księgarcia ta daje utrzymanie pośrednio lub bespośrednio znacznej liczbie pracowników, dzieła Szyllera przedrukowywane są w Sztutgardzie pod okiem księgarni nakładowej, przez spekulantów, którzy żadnego udziału nie mają w kosztach, jakie księgarnia nakładowa za całe Niemcy łożyła w nadziei odbytu, i którzy nawet, jako księgarze, nie opłacali podatku i konsensu.«
